

Życie w Bolesławcu w okresie międzywojennym

Naród, który chce tworzyć pomyślną przyszłość swego państwa, musi znać jego dzieje, jego korzenie i na nich budować przyszłość, jak dom na solidnym fundamencie. Bez spełnienia tego warunku praca narodu jest skazana na niepowodzenie. Pragniemy z całego serca pomyślności swej małej ojczyzny i chcemy zapoznać czytelnika z jej historią.

Trzeba jednak wyjaśnić, że nie przedstawimy tu dokładnie przeszłości. Nie mieliśmy takiego zamiaru ani możliwości i pozostawiamy to zadanie profesjonalnym historykom. Niemal wcale nie opieraliśmy się na materiałach zaczerpniętych z archiwów. Najbliższe archiwum w Sieradzu nie miało np. dokładnych wiadomości o bolesławianach poległych w I i II wojnie światowej, również w wojnie bolszewickiej w 1920 roku. Przekonaliśmy się o tym, zbierając materiały o POW w Bolesławcu. Niniejsza praca opiera się na nielicznych i często niepełnych źródłach miejscowych: opowiadaniach starszych mieszkańców, bezpośrednich świadków przeszłości, ich wspomnieniach przekazanych młodym, kronikach niektórych organizacji, odnalezionych protokołach zebrań, nielicznych dokumentach z Urzędu Gminy, kronice szkolnej, kronice parafialnej, wspomnieniach autorki i jej rodziny. Praca ta nie odzwierciedla więc wszystkich szczegółów życia tej okolicy w okresie międzywojennym, ukazuje tylko najbardziej charakterystyczne momenty życia ludzi, niejako jego powierzchnię. Jej celem było przekazanie ogólnych informacji o życiu, które minęło, o wartościach, w które obfitowało, szczególnie o kulturze i warunkach społecznych.

Odtworzenie historii międzywojennej w Bolesławcu polegało na zbieraniu wspomnień ludzi, którzy stanowili żywy element tej historii. Tę metodę niejako wskazał i uświęcił przy pisaniu *Pana Tadeusza* nasz wielki poeta Adam Mickiewicz. Wyjaśnił on swoje zamierzenia w przepięknym fragmencie „Epilogu”:

I przyjaciele wtenczas pomogli w rozmowie,
I do piosnki rzucali mnie słowo za słowem,
Jak bajeczne żurawie nad dzikim ostrowem,
Nad zaklętym pałacem przelatując wiosną
I słysząc zaklętego chłopca skargę głośną,

Każdy ptak chłopcu jedno pióro zrzucił,
On zrobił skrzydła i do swoich wrócił...

Wyrażamy wdzięczność tym, którzy w zbieraniu materiału do niniejszej pracy odegrali rolę podobną do owych żurawi z *Pana Tadeusza*.

Serdecznym obowiązkiem obecnych i przyszłych mieszkańców Bolesławca niech będzie poznawanie jego przeszłości, aby każde pokolenie wiedziało, że korzysta z dorobku braci Polaków i winno go wciąż pomnażać i zostawiać następcom.

*Szkoła podstawowa*¹

Jednym z pierwszych zadań po odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 roku było zorganizowanie w niej publicznego szkolnictwa podstawowego. To samo zadanie wyłoniło się w Bolesławcu. Zostało podjęte przez nowo powstałą administrację gminną i przez całą społeczność. Wszyscy rozumieli, że podniesienie poziomu oświaty, bardzo lekceważonej i zaniedbanej przez zaborców, jest warunkiem postępu.

Podczas zaboru rosyjskiego istniała w Bolesławcu szkółka z jednym nauczycielem, dla której przeznaczona była jedna izba i która nie mogła objąć wszystkich chętnych do nauki z Bolesławca, Chotyńna, Piask, Kamionki. Uczniowie musieli się w niej posługiwać językiem rosyjskim. Nie chodziło o szerzenie oświaty, ale o rusyfikację polskiej ludności. Uczono wyliczać członków carskiej rodziny, nieco matematyki, pieśni i wierszy rosyjskich, z których główną była „Niwa maja, niwa, niwa złotodajna”.

Od 1905 roku istniała tu oficjalnie szkoła Macierzy Szkolnej, prowadzona przez Kazimierę Rawicką. Nielegalnie wplatała ona do nakazanych urzędowo treści niedozwolone wiadomości z historii i literatury polskiej.

W 1914 roku wybuchła I wojna światowa. W Bolesławcu zmienił się okupant. Rosjanie wycofali się, a przyszli Niemcy. Bolesławianie marzyli o wolnej Polsce i o polskiej szkole. Mieli nadzieję, że zmiana polityczna przybliży realizację tych pragnień, przewidywali nawet, że zbliża się już ten czas. Niemcy pozwolili na nauczanie w języku polskim, ale w dalszym ciągu pracował jeden nauczyciel.

¹ Wspomnienia Konrada Józefa Wilczyńskiego o szkole w Wójcinie, w której przez pewien czas pracowała Maria Rojek, zamieszczono w Dodatku do niniejszej książki.

Co najwięksi czynni patrioci w Wieluniu i w całym powiecie wieluńskim skorzystali z możliwości organizowania edukacji w wielu miejscowościach i budzili zainteresowanie nauczaniem, gdzie tylko to było możliwe. Powstawały nowe szkółki i zgłaszały się dość licznie chcące w nich pracować osoby. W 1917 roku odbył się w Wieluniu zjazd czynnych już w powiecie nauczycieli. Zorganizował go zajmujący stanowisko inspektora szkolnego pan Szelest, wielki patriota, działacz na niwie oświaty. Wygłosił on na zebraniu gorące przemówienie:

Szanowni obecni nauczyciele i nauczycielki! Dwa lata już szaleje wojna. Europa drży w posiadach. Tworzone są jednak i dzieła pokojowe. I my zebraliśmy się tutaj dla jednego z najpiękniejszych czynów Pokoju, by przez kształcenie młodzieży przysłużyć się społeczeństwu. Niech Bóg błogosławi naszą pracę!

Słowa inspektora, odczytywane dziś, budzą jeszcze w sercach wrażliwych Polaków dreszcze i szacunek dla przodków. Mówca, ofiar-ny entuzjasta, organizował szkoły, zatrudniał nauczycieli, zachęcał do wstępowania w ich szeregi. Z Bolesławca uczestniczyły w spotkaniu dwie osoby: pan Henryk Wesołowski – kierownik dotychczasowej szkoły i pani Kazimiera Rawicka – dotychczasowa kierowniczka szkółki Macierzy Szkolnej. Już wówczas obie placówki złączono w jedną szkołę. Inspektor Szelest powierzył jej kierownictwo Henrykowi Wesołowskiemu i nadał szkole status siedmioklasowej Szkoły Powszechnej Rozwojowej. W takim stadium przywitała szkoła Polskę wolną, wyzwoloną 11 listopada 1918 roku.

Zaczęła się ciężka praca, która trwała przez okres międzywojenny. Wkrótce mianowano kolejnych nauczycieli – panią Stanisławę Nuszkiewicz i pana Kazimierza Dominasa, który dopiero co został zdemobilizowany z armii walczącej w 1920 roku z bolszewikami.

Szkoła zaczynała od trzech, potem czterech klas. Po roku miała pięć klas. Ci, którzy skończyli cztery klasy i chcieli się uczyć dalej, musieli czekać na otwarcie piątej klasy cały rok. Chętnych było dużo. Kierownik Wesołowski, aby dzieci nie zapomniały tego, czego już się nauczyły, zbierał kandydatów dwa razy w tygodniu, uczył ich dodatkowo i wyznaczał tematy do samodzielnego opracowania. Oni z zapałem prowadzili swe samokształcenie i osiągnęli dobre wyniki. Współpracowali ze sobą, pożyczali sobie książki, objaśniali trudniejsze zagadnienia. Wprost zachłannie czytali książki. Pożyczali je z dość bogatej biblioteki parafialnej, z biblioteki szkolnej, bardzo jeszcze ubogiej, od prywatnych właścicieli. Ponieważ jednak książek wciąż było mało, często odbywało się wspólne głośne czytanie. Zdarzały się bu-

dujące sceny: lektor siedział przy stole, na którym tliła się mała lampa naftowa, obok siedziało lub stało kilkoro kolegów i koleżanek i słuchało czytania, nie zważając na zmęczenie. I tak chłonęli wprost literaturę piękną. Nauczyli się wielu wierszy na pamięć. W ten sposób dobrnęli do V klasy i z wielkim zapałem uczyli się dalej. Ku wielkiemu zadowoleniu rodziców wiele ich dzieci ukończyło siedmioklasową Szkołę Powstaniec w Bolesławcu, pierwszą taką w historii. Otrzymali świadectwa jej ukończenia i uważani byli w pewnym sensie, w odczuciu mieszkańców miejscowości, za ludzi wykształconych. Był to prawdopodobnie rok 1922.

Absolwenci z tamtego roku wyróżniali się rzeczywiście przez całe życie ambicją, z szacunkiem i wdzięcznością wspominali pierwszego kierownika polskiej szkoły i jego współpracowników, od których otrzymali zachętę do nauki. Dzięki nim rozwijali się, wypożyczali książki z różnych źródeł, czytali, czytali... Poziom tych uczniów był wysoki i na zawsze powinni oni zostać przykładem wartości samokształcenia. Ludzi ci mieli ambitny styl życia, zachowali godność w czasie okupacji niemieckiej, w duchu patriotyzmu i szacunku do przeszłości wychowywali swoje dzieci. Do pierwszych absolwentów szkoły w Bolesławcu należeli, dziś już w większości nieżyjący: Felicja Antoniewska, Bronisława Bronś, Cecylia Chmielewska, Lucjan Chmielewski, Maria Chmielewska, Teodor Dyszlewski, Marian Ginter, Zygmunt Gładała, Bronisława Karczmarska, Władysława Karczmarska, Konrad Kościelny, Leokadia Koszowska, Maria Osińska i Leokadia Weber.

Kilkoro z nich poszło do szkoły średniej, przeważnie do Seminarium Nauczycielskiego w Krotoszynie. Rodziców nie było stać na pokrywanie kosztów nauki; trzeba zważyć, że były to pierwsze porobiorowe i powojenne lata i środowisko Bolesławca pod względem gospodarczym było bardzo zaniedbane.

Do otwieranych rok w rok klas przychodzili następni uczniowie i otrzymywali świadectwa ukończenia siedmioklasowej Szkoły Powstaniec, która od 1927 roku była już pełną szkołą, zatrudniającą komplet potrzebnych nauczycieli. Kierownikiem szkoły był nadal pan Henryk Wesołowski i trwał na tym stanowisku przez cały okres międzywojenny.

Wzrost liczby klas wymagał większej liczby izb lekcyjnych. Dwa dotychczasowe pomieszczenia w budynku gminnym nie wystarczały. Wynajmowano je więc od prywatnych właścicieli. Na cele szkoły oddali pomieszczenia w swych domach: Antoni Kozłowski, Edward

Kukulski i Leon Liniewiecki. Oczywiście uczniowie nie mieli w tych lokalach dobrych warunków do nauki, ale znosili spokojnie wszelkie konieczne niedogodności. Trudności mieli też nauczyciele. Musieli bowiem w czasie przerw śpieszyć z budynku, w którym ukończyli lekcję, do budynku, w którym mieli prowadzić następną.

W tym czasie była już w miarę możliwości zachowywana specjalizacja przedmiotowa. Nauczyciele doksztalcali się. Trzeba przyznać, że ci zatrudnieni w Bolesławcu byli zawsze dobrze przygotowani do wykonywania zawodu. W ciągu całego okresu międzywojennego pracowali w Bolesławcu: Henryk Wesołowski – kierownik szkoły oraz nauczyciele: Józef Będziński, Maria Czerniawska, Kazimierz Dominas, Dowbenka (imię nieznane), Jan Gładała, Helena Jasiewicz, Kuczkowska (imię nieznane), Tadeusz Kujawiński, Józef Łęcki, Mieczysław Malewski, Stanisława Nuskiewicz, Kazimiera Rawicka, Irena Świniarska-Adamczyk, Józef Tanierski, Wanda Walasiewicz-Malewska i Zenon Wykrota. Jako katecheci pracowali księża: Stanisław Nuskiewicz (bardzo krótko), Wincenty Wojciechowski, Bolesław Choroczyński, Marian Kluszczyński i rabin Fabisz Bomac. Wszyscy nauczyciele – świeccy i duchowni – oddani byli szkole, poświęcali dla niej czas nie tylko lekcyjny, ale i swoje wolne chwile. Dlatego uczniowie czuli się dobrze w szkole. Była ona biedna, według dzisiejszej oceny, ale zawsze radosna. Sama wypracowywała dużo środków na kupno pomocy naukowych (map, globusów, książek, pomocy do fizyki i chemii), niektóre z nich uczniowie wykonywali sami.

Nauczyciele – wielcy patrioci – za swoje główne zadanie uważali wychowanie młodego pokolenia w miłości do niepodległej Ojczyzny. Sami spędzili część życia w niewoli i znali jej udręki. Wychowanie odbywało się na wszystkich lekcjach i we wszystkich momentach życia szkolnego, także po lekcjach. Na lekcjach języka polskiego kładziono akcent na lekturę, czytelnictwo książek, uczenie wierszy i śpiewanie pieśni patriotycznych. Wyróżniającą się nauczycielką języka polskiego była Helena Jasiewicz, a po niej Tadeusz Kujawiński.

Mniej więcej od roku szkolnego 1925/26 poprawiły się nieco warunki lokalowe szkoły. Wynajęto znajdujący się w Podbolesławcu budynek dawnej niemieckiej komory celnej. Urządzono w nim izby lekcyjne dla klas III-VII. Młodzież cieszyła się z tej odmiany, mimo że odtąd miała dalej do szkoły. Zimą trudno było pokonać ponad kilometr. O wiele gorzej mieli uczniowie z dalszych miejscowości: z Chróścina, z Mieleszyna, ze Żdżar. Nie było tam siedmiu klas, więc uczniowie stamtąd przychodzili do szkoły w Bolesławcu. Nie było jed-

nak słycać narzekań, a korzyść wychowawcza dla młodzieży z całej gminy była duża: następowała jej integracja, przygotowująca do współżycia dorosłych mieszkańców różnych miejscowości całej gminy.

Pewnym ułatwieniem dla młodszych dzieci było pozostawienie w gminnym budynku przy Rynku dwóch pomieszczeń dla klas I-II. Tutaj w czasie pozalekcyjnym często odbywały się zebrania rodzicielskie, przygotowywano programy artystyczne na akademie, odbywały się tu próby przedstawień teatralnych, szczególnie jasełek, na które przychodzili rodzice, ksiądz, nauczyciele.

Działania wychowawcze miały różne formy. Do bardzo cenionych należały wycieczki, oczywiście piesze. Uczniowie chętnie brali w nich udział. Nauczyciele starali się, by były one atrakcyjne, a jednocześnie wartościowe pod względem poznawczym i kształcącym. Jako uczennica uczestniczyłam na przykład około 1927 roku w wycieczce do pałacu Łopuchina w Chróscinie. Tu starszy wiekiem kierownik Szkoły Powszechnej w Piaskach pan Marceł Pęksiński opowiadał historię pałacu, odczytał i przetłumaczył z rosyjskiego na polski pozostały po Rosjanach napis, głoszący, że car ziemię skonfiskowaną Polakom za ich udział w powstaniu styczniowym ofiarował generałowi Krasnokutskiemu. Bolesny i oburzający napis wywoływał współczucie dla zniewolonych Polaków, dawnych posiadaczy tych ziem. Miałam żal do ówczesnych władz polskich, że nie usunęły z gmachu tablicy z tym hańbiącym napisem i że nie zawiesiły nowej, która wyjaśniałaby prawdę historyczną. Pan kierownik wyjaśniał, że wioska Kolonia Bolesławiec-Chróscin powstała na rozparcelowanych gruntach odebranych Rosjaninowi. Wspomnienia o tym przekazywałam, już jako nauczycielka, swoim uczniom.

Bardzo kształcąca i wychowawcza pod względem patriotycznym była też wycieczka do Ustronia, w czasach pruskich pałacu myśliwskiego następcy tronu niemieckiego Wilhelma. Pałac ten stał na ziemi byłego zaboru pruskiego. Przedstawiany był też jako obraz krzywdy wyrządzonej Polsce przez zaborcę. W okresie międzywojennym mieściło się tu sanatorium dla dzieci urzędników państwowych.

Bardzo interesującym celem wycieczek był pałac patriotycznej rodziny hrabiów Szembeków z Siemianic, w którym przechowywano liczne pamiątki po dawnej Polsce. Można było tam zobaczyć chwałę Ojczyzny, a więc różne rodzaje broni, polską i zdobyczą, sztandary i chorągwie, zdobyte pod Wiedniem namiot wezyra tureckiego i inne eksponaty, składające się na prawdziwe muzeum, które Szembekowie udostępniali uczniom w celach wychowawczych.

Nauczyciele prowadzili też wycieczki na łąki leżące za Chróścinem, nad Prosną. Dzieci dowiadywały się tu o zamordowaniu przez żołdaków rosyjskich polskich powstańców, którzy po upadku powstania styczniowego chcieli przedostać się przez Prosnę z zaboru rosyjskiego do zaboru pruskiego, do dworu Szembeków, którzy udzielali pomocy uciekinierom. Nie udało się to jednak na skutek donosu. Najszlachetniejsi wówczas bohaterowie polscy zostali ujęci i w okrutny sposób zamordowani. Rolnicy wyorywali potem przez długie lata kości, które świadczyły o prawdziwości ustnego świadectwa. O historii opowiadał na wycieczkach Tadeusz Kujawiński. Dzięki temu uczniowie znali swoją okolicę pod względem geograficznym i historycznym. Ale nie tylko.

Zorganizowano też wycieczkę za granicę – do Byczyny, a więc na teren, na którym po plebiscytowym ustaleniu granicy polsko-niemieckiej zostało wielu z dawna tu osiadłych na swojej ziemi rodzinnej Polaków. Zdarzył się wtedy wzruszający, a zarazem wymowny pod względem narodowym przypadek. Zachowała go w pamięci uczestniczka tej wycieczki Lucyna Strzelczyk (obecnie Chmielewska). Oto jej wspomnienie:

Byłam uczennicą V klasy Szkoły Podstawowej w Bolesławcu. Dowiedzieliśmy się, że nauczyciele, zawsze chętni do dostarczania nam różnych a wartościowych przeżyć, przygotowują nam wielką przyjemność. Będzie to wycieczka do Byczyny. Cieszyliśmy się, bo każda wyprawa poza szkołę jest dla nas atrakcją, a ta będzie w dodatku za granicę, do Niemiec. Pan Tadeusz Kujawiński udzielił nam stosownych wyjaśnień, zwłaszcza historycznych, abyśmy nie szli tylko dla samej przyjemności, ale również dla celów naukowych i patriotycznych.

Przygotowywaliśmy się do wyprawy, świadomi tego, że mamy do przebycia 11 kilometrów pieszo. Okazało się, że nie trzeba zabierać prowiantu na cały dzień, bo – jak powiadomili nas nauczyciele – szkoła w Byczynie przygotowuje dla nas posiłek. Za nasze polskie pieniądze nic tam nie można kupić, więc jeśli ktoś może, niech postara się o niemieckie marki. Mieszkał w Bolesławcu ze swą rodziną Żyd Zelkowicz, znany z tego, że był szmuglerem i handlował obcą walutą. On chętnie zaspokoił nasze potrzeby i wymienił nam złotówki na marki. Czuliśmy się bardzo ważni, że mamy obcą walutę.

Wystrojeni jak na wielkie uroczystości państwowe w mundury harcerek lub dziewczynki w białe bluzeczki i granatowe spódniczki, a chłopcy w białe koszulki i granatowe spodnie, wszyscy z czarnymi opaskami na rękawach na znak żałoby po śp. Marszałku Piłsudskim, wyruszyliśmy czwórkami. Był to rok 1935, pewnie czerwiec. Maszerowaliśmy rażno, śpiewając harcerek, marszowe piosenki. Minęliśmy domy Bolesławca, potem Chróścina i weszliśmy do Goli, wioski leżącej tuż nad granicą, którą wyznaczała Proсна. Na jej północnym brzegu rozłożona była Gola, a na południowym – wioska niemiecka Langensand, znana mieszkańcom Goli jako Piaski. Wkrótce mieliśmy się przekonać, że Niemcy dali swoje nazwy z dawna polskim miejscowościom (np. Jaskowitz to Jaśkowice, Pitschen – Byczyna).

Wyrównaliśmy nasze szyki, nauczyciele okazali przepustki strażnikom polskim i niemieckim, weszliśmy ze śpiewem na most na Prośnie – i już byliśmy w Niemczech, najpierw w Piaskach, a nieco dalej w Jaskowicach. Tutaj zdarzył się zupełnie nieprzewidziany, ale bardzo wzruszający wypadek: wycieczkę naszą zatrzymała z wielkim płaczem staruszka, która mówiła, że jest szczęśliwa, iż mogła jeszcze raz pod koniec życia, po wielu latach od śmierci swoich rodziców, usłyszeć polskie piosenki. Nasi nauczyciele nawiązali z nią serdeczną rozmowę – słuchała ich, wciąż płacząc. Zaspiewaliśmy jej jeszcze kilka piosenek ludowych i harcerskich i ruszyliśmy dalej.

Następnych przeżyć dostarczyło nam wejście do Byczyny. Śpiewaliśmy równo, głośno, z patosem „Legiony”, szliśmy dostojnie, chcąc zrobić dobre wrażenie. Przechodziliśmy koło szkoły. I tu zaskoczenie: drzwiami i oknami wybiegli uczniowie, by nas przywitać. Duża ich grupa odprowadziła nas do ogrodu, gdzie były zastawione stoły ze śniadaniem. Tam odpoczęliśmy. Pan Kujawiński powiedział nam, że możemy indywidualnie wyjść na miasto i kupić sobie jakieś pamiątki. Nie poszło nam to jednak gładko. Choć posiadaliśmy marki i fenigi, nie umieliśmy zrobić z nich użytku. Nie znaliśmy przecież języka, a ekspedientki nie znały polskiego. Na szczęście jedna z nich przyprowadziła z zaplecza starszą panią, która mówiła śląską gwarą i pomogła nam kupić kilka drobiazgów. Obdarzone zostałyśmy dodatkowymi upominkami i serdecznie przez tę panią zegnane, poszliśmy do innego sklepu. Ale tam natknęliśmy się na podobne trudności. Chciałyśmy kupić cukierki, ale nie znałyśmy ich niemieckiej nazwy. Jedna z koleżanek powiedziała, że chyba „bon bon” (dziadek jej służył w armii pruskiej), ale inne zaoponowały ze strachem, że nie chcą bombek. Ekspedientka ze śmiechem wysypała nam na ręce cukierki, przytaknęliśmy, że chcemy je kupić. Przeżyliśmy jeszcze inne śmieszne przygody i zadowolone wróciliśmy do bazy w ogrodzie, gdzie czekał na nas obiad – bardzo smaczny i suty.

Zwiedziliśmy jeszcze zabytki w mieście, opisane wprawdzie po niemiecku, ale przypominające dawne czasy, gdy Byczyna była jeszcze polska. Pan Kujawiński opowiadał nam historię tego miasta. Bardzo zaciekało nas opowiadanie o bitwie pod Byczyną hetmana Zamojskiego z księciem austriackim Maksymilianem, pretendentem do polskiego tronu. Obejrzelśmy stojący w parku obelisk, upamiętniający to zdarzenie, następnie mury i bramy miejskie, wieżę, ratusz i inne zabytki. Czas uciekał i trzeba nam było zbierać się do powrotu. Uczniowie szkoły niemieckiej, jako koledzy, odprowadzili nas do samej granicy, czyli do wioski Piaski-Langensand. Pożegnaliśmy się serdecznie, wdzięczni za miłe przyjęcie.

Pragnę dziś z żalem dodać, że uczucie to zawiodło nas wkrótce, bo już za kilka lat Bolesławiec został zburzony przez Niemców, a wycieczka Hitlerjugend, która przybyła wtedy z Byczyny nie miała charakteru koleżeńkiego. Nie witaliśmy jej, bo mieszkaliśmy wtedy w piwnicach, wśród gruzów. Oglądaliśmy niemieckich chłopców w mundurach Hitlerjugend przez okienka, a oni nie próbowali kontaktować się z nami, wychowani zapewne przez innych nauczycieli-nazistów, w nienawiści do Polski i Polaków.

Co roku urządzano w lesie majówkę dla wszystkich dzieci. Uczniowie szli czwórkami do bolesławieckiego lasu, za nimi jechali furmankami rodzice, wiozący podwieczorek. Droga była dla maluchów

daleka, ale wydarzenie wielkie i radość jemu równa. Pierwszą parę prowadziła nauczycielka, pani Rawicka. Udało mi się chwycić ją za rękę i to napełniało mnie wielką radością i dumą. Szłam podniecona i wcale nie czułam bólu nóg. W takim szacunku dla pani nauczycielki wychowała mnie mama. W drodze powrotnej musiałam odstąpić zaszczytne miejsce innym koleżankom. Majówki były starannie przygotowywane, nie ograniczały się do tańców, ale prezentowały program artystyczny i rozrywkowy. Dzieci szkolne były rozśpiewane, zwłaszcza odkąd nauczycielem śpiewu i opiekunem ZHP został pan Józef Będziński. Słyszeć więc było śpiew w drodze ze szkoły, w kościele, w polu, na łąkach, przy pasieniu bydła, w domu, a letnimi wieczorami i przed domami.

Nauczyciele otoczeni byli szacunkiem dorosłych i miłością uczniów. Wszyscy pamiętali o ich imieninach, do których starannie się przygotowywali. Wyprawiali się do lasu po zielone gałązki do dekorowania izby lekcyjnej, w której występował solenizant. Musiał być wieniec nad drzwiami i wokół krzesła. Zdolniejsi do rysunków malowali laurki, na których wychowankowie składali swe podpisy. Śpiewano piosenki z życzeniami, recytowano wiersze. Rodzice interesowali się, wypytywali, jak poszła uroczystość imieninowa w klasie. Okazywana w ten sposób solidarność wpływała bardzo pozytywnie na stosunek środowiska do nauczycieli, do szkoły.

Bezpośrednio z pracą szkolną związane było harcerstwo. Nie wiadomo dokładnie, kiedy ono powstało. Być może istniało już od pierwszych lat istnienia szkoły, ale nie przejawiało aktywności. Właściwym jego założycielem był nauczyciel Józef Będziński. W latach 30. rozwinęło się i wzrosło liczebnie. Należeli do niego uczniowie starszych klas. Wszyscy byli umundurowani. Drużyna prezentowała się bardzo dobrze. Prócz własnych zbiórek harcerze organizowali różne spotkania, czym przyciągali do siebie ludzi. Letnimi wieczorami rozpalali u stóp góry zamkowej ogniska, na które przychodziło wielu mieszkańców, by słuchać śpiewów, skeczy i gawęd. Tak oto z przeżyciami dzieci, młodzieży i nauczycieli łączyło się społeczeństwo, a przez to wzrastał poziom kulturalny, szacunek dla duchowych wartości. Drużyna harcerska pomagała też w zaopatrzeniu szkoły w pomoce naukowe.

Należy jeszcze wspomnieć o udziale szkoły w podnoszeniu poziomu kulturalnego środowiska przez urządzenie występów artystycznych. Odbywały się one na akademiach organizowanych w święta narodowe, a nawet kościelne (w 1929 roku na akademii ku czci papieża Piusa XI wygłosiła referat hr. Maria Szembekowa, a ja, wów-

czas uczennica VI klasy, recytowałam długi piękny wiersz). Różne organizacje szkolne urządzały przedstawienia, które dawały dużo radości całemu środowisku. Najwięcej przeżyć dostarczały wystawiane co roku jasełka. Sala widowiskowa była zawsze przepełniona, a wrażeniami z przedstawień dzielono się jeszcze długi czas. Zapamiętałam swoje pierwsze jasełka, na których mój starszy brat Lutek odgrywał rolę pasterza. Byłam wprost upojona jego widokiem w kożuchu, trzymającego laskę góralską, z baranicą na głowie. Co mówił, nie wiedziałam, to nie było ważne. Stał na scenie pasterz, wybierający się z innymi na przywitanie Jezuska. Śpiewali kolędę, której i ja później uczyłam, gdy byłam już nauczycielką...

W szkole istniały też organizacje uczniowskie. Była to na przykład Spółdzielnia Uczniowska. Prowadziła ona własny sklepik, który w każdym roku osiągał dochód ok. 200 złotych. Był on przeznaczony na kupno pomocy naukowych, zwłaszcza do prac ręcznych, fizyki i geografii. Prowadzono też Koło Ligi Ochrony Powietrznej i Przeciwigazowej, koło Ligi Morskiej i Kolonialnej, której zadaniem było gromadzenie funduszy na budowę polskiej floty wojennej, koło Uczestników Towarzystwa Popierania Budowy Publicznych Szkół Powszecznych. Uczniowie rozprowadzali również ulotki o tych i innych organizacjach, które sprzyjały gromadzeniu funduszy na cele społeczne, co miało w owym czasie duże znaczenie. Te działania wpływały na wychowywanie dzieci i młodzieży w solidarności i ofiarności. Wszyscy czuli się życzliwą sobie społecznością, bez względu na narodowość i religię.

Do szkoły w Bolesławcu w latach między wojnami uczęszczało 920 uczniów, w tej liczbie było 186 dzieci pochodzenia żydowskiego. Dzieci te nie odczuwały obcości. Nie było konfliktów. Stawały do zdjęć fotograficznych razem z polskimi kolegami i duchownymi katolickimi. Po tę statystykę nikt nie sięgał, w codziennym życiu nikomu nie była potrzebna. Dzieci żydowskie włączały się do grup koleżeńskich, do ich życia, nie ujawniała się żadna nietolerancja – ani religijna, ani narodowościowa. Religii rzymskokatolickiej uczyli proboszczowie, a wyznania mojżeszowego w liczbie czterech godzin tygodniowo – rabin Fabisz Bomac. Istniała więc pełna tolerancja.

Wiadomości o szkole przedstawione w tym rozdziale świadczą o wielkim zainteresowaniu społeczeństwa szkołą w okresie międzywojennym. Dzięki temu zamiast małej wiejskiej szkółki, mającej niewielki wpływ na życie mieszkańców, w krótkim czasie Bolesławiec miał wspaniałą placówkę, prawdziwy ośrodek postępu, który zapew-

niał piękną perspektywę dalszego życia w tym środowisku. Z pewnością i w zakresie oświaty nie wszystko można uznać za idealne. Nie udało się na przykład przekonać niektórych obywateli do idei obowiązku szkolnego. Nie uznawały go rodziny od pokoleń dość zaco-fane i ubogie. Ale to powoli zmieniało się na lepsze. Piękną pracą szkoły przerwała brutalna napaść Niemców na Polskę. Szkoła w Bolesławcu była zamknięta od pierwszego do ostatniego dnia okupacji niemieckiej, a tym, którzy chcieli się uczyć, i tym, którzy pragnęli uczyć – nauczycielom – groziły surowe kary, nawet wyroki śmierci². Wychowanie prowadzone przez szkołę w Bolesławcu w okresie międzywojennym pozostawiło jednak trwałe ślady w duszach, w kulturze całej społeczności. Zasluguje więc na pamięć.

Straż Pożarna

Szkoła była bardzo ważnym czynnikiem w podnoszeniu kultury środowiska, przez lata zaniedbanej i celowo niszczonej przez władze zaborcze. Wielką rolę w troszczeniu się o nią odegrała też Straż Pożarna. Odnosiła ona sukcesy na tym polu jeszcze przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Nie można ustalić dokładnie daty jej powstania. Niektóre źródła wskazują na rok 1874, inne na rok 1880³. Wydaje się jednak, że najbardziej prawdopodobna jest data 1860 lub wkrótce po powstaniu styczniowym. Istniała wtedy pod nazwą Straży Ogniowej.

Była to jedyna organizacja, której władza pozwalała legalnie istnieć. Pierwszym komendantem był Hipolit Ostrzycki. Współpracowali z nim m.in. Antoni Kozłowski, Szczepan Łajtloch, Walenty Marczewski i Konstanty Weber. Członkami byli nieomal wszyscy mężczyźni z Bolesławca (a także kilku z Kamionki i Piask). Obok szkolenia statutowego strażacy prowadzili nielegalną działalność patriotyczną, surowo karaną w razie wykrycia. Po upadku powstania styczniowego w ramach represji car odebrał Bolesławcowi prawa miejskie i zakazał działalności wszelkich organizacji społecznych, również Straży Ogniowej. Po dziesięcioletniej przerwie, a więc prawdopodobnie w 1881 roku, władze zezwoliły jednak w ograniczonym zakresie na wznowienie jej działalności.

Straż Ogniowa w Bolesławcu natychmiast wykorzystwała to zezwolenie i wróciła do działalności z dziedziny kultury, uważając ją za

² Zob. niżej, rozdział „Tajne nauczanie w Bolesławcu”.

³ Tadeusz Poklewski podaje rok 1870, *Dzieje Bolesławca nad Prosną*, dz. cyt., s. 59.

niezbędną do zachowania tożsamości narodowej i lokalnej. Odtąd była jedyną legalnie istniejącą organizacją społeczną i w ramach tego prowadziła patriotyczną działalność podziemną. W Bolesławcu działało się to na szeroką skalę i dawało bardzo pomyślne rezultaty. Strażacy mieli bardzo znaczący wpływ na rozwój czytelnictwa. Utrzymywali stały kontakt z bibliotekami Macierzy Szkolnej w zaborze pruskim. Z Podbolesławca, który znajdował się w zaborze pruskim i nazywał się „Bolesławice”, pobierali książki, sami czytali i wypożyczali je współmieszkańcom. Dzięki temu wśród ludzi umiających czytać powszechna była znajomość literatury polskiej. Na czytanie książek i na działalność kulturalną ówczesni ludzie nie żalowali czasu, mimo że nie dawało im to bezpośrednich korzyści materialnych. Na skutek tego miejscowość tak biedna, zaniedbana, zapomniana potrafiła ocalić się od całkowitej degradacji kulturalnej i wynarodowienia.

Po zmianie nazwy Straż Pożarna była czynna w całym okresie międzywojennym. Prowadziła także działalność kulturalną – urządziła przedstawienia, zabawy, majówki. Przygotowaniem przedstawień zajmował się zespół amatorski; reżyserowali przeważnie nauczyciele. Dochód z występów był przeznaczony na zakup nowego sprzętu i mundurów, gdyż Straż nie otrzymywała wystarczająco dużo pieniędzy, co było zupełnie zrozumiałe w okresie dorabiania się Polski po okresie niewoli.

W latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku działaczami byli, poza już wymienionymi: Kozłowski, Lajtloch, Marczewski, Ostrzycki i Weberem – najstarszymi mieszkańcami, protoplastami wielu rodów, młodzi mężczyźni, dzięki którym rosła liczba członków. Do najbardziej znanych i do dziś zapamiętanych należą (od najstarszych do najmłodszych): Teodor Strzelczyk, Waław Strzelczyk, Aleksander Chwaliński, Leopold Chwaliński, Aleksander Bejm, Marian Musiałek, Waław Weber, Leon Liniewiecki, Czesław Lajtloch, Stanisław Dyszlewski, Franciszek Chmielewski, Roman Słowiński, Roman Lajtloch, Waław Kaprał, Waław Bronś, Waław Dominas, Leon Rychłowski, Tomasz Chmielewski, Antoni Bzik, Kazimierz Kijak, Tadeusz Włodarczyk, Stanisław Gładąła, Stanisław Bieniek, Franciszek Wężyk, Czesław Musiałek, Józef Lary, Franciszek Żółtaszek, Niecefor Brząkała, Ignacy Bernaś, Tadeusz Kik, Janusz Błach, Henryk Pastusiak, Łukasz Włodarczyk. W latach 1925-1932 prezesem Straży był Józef Będziński.

W najwcześniejszych latach okresu międzywojennego Straż Pożarna miała małą drewnianą remizę i bardzo ubogi sprzęt. Rezydowała

w uroczym miejscu na brzegu Proсны, z widokiem na basztę zamkową i zabytkowy młyn. Czasem wdzierala się do niej woda. Obok umieszczone były sprzęty do gaszenia pożarów, używane często, bo pożary wybuchały raz w raz na skutek tego, że Bolesławiec i okolice były w większości drewniane. Nic jednak nie przeszkadzało strażakom w przeprowadzaniu ćwiczeń szkoleniowych. Z zapalem wspinali się po drabinach na dachy, używali ręcznych sikawek, uczyli się organizować sztafety z ratowników posługujących się zwykłymi wiadrami, z jakimi przybiegali do ognia cywilni ochotnicy. Ćwiczenia te stanowiły miejscową atrakcję, zwłaszcza dla dzieci. Przypatrywali się im także starsi mieszkańcy.

Pomoc przy gaszeniu pożaru uważana była za czynność niemal religijną, dawała duchową radość z pomocy bliźnim. Na głos syreny biegli strażacy, w drodze zapinając pasy i hełmy. Właściwie nikt nie pozostawał w domu, byłoby to uznane za brak solidarności, za obojętność względem braci. Taka była mentalność ówczesnego jeszcze nieskażonego społeczeństwa.

Przy remizie nad rzeką strażacy spędzali wolne niedzielne popołudnia. Toczyli rozmowy na różne tematy, starsi wspominali ciekawe wydarzenia, młodzi przysłuchiwali się im. W latach trzydziestych przy ulicy Wieluńskiej zbudowano remizę murowaną, z kilkoma pomieszczeniami. Stopniowo wzrastała liczba sprzętu pożarniczego, kupowanego z dotacji lub z samodzielnie zdobywanych funduszy.

Strażacy uczestniczyli też w życiu religijnym, we Mszach świętych za Ojczyznę, za poległych. Szczególnie aktywnie włączali się w organizację procesji Bożego Ciała. W tym zakresie nie dawali się nikomu wyprzedzić w pomysłach. Co roku budowali jeden z czterech ołtarzy i starali się, by był on oryginalny. Zajmował całą zachodnią stronę Rynku. Budowany był z narzędzi i sprzętu przeciwpożarowego, przybierany gobelinami, kwiatami, obrazami pożyczanymi z wielu domów. Dochodziło się do niego ścieżkami, pokrytymi gęsto tatarakiem. Był prawdziwie artystyczny.

Straż Pożarna wnosila duże wartości do życia w okresie międzywojennym, mobilizowała do rzetelnej, ofiarnej pracy społecznej, zbliżała ludzi do siebie i tym oddziaływała na kształtowanie się godności i kultury całego społeczeństwa.

Życie religijne

Bardzo ważny aspekt życia społeczności w Bolesławcu w okresie międzywojennym stanowił związek z Kościołem katolickim. Większość mieszkańców wyznawała religię rzymskokatolicką, według niej starała się żyć i wiązała z nią swoją polskość. Wspierali ich w tym

księży proboszczowie i to nawet jeszcze przed odzyskaniem przez Polskę niepodległości, często z narażeniem siebie, gdyż władze carskie, na ile mogły, utrudniały Polakom praktykowanie religii.

W parafii Bolesławiec pracowali kolejno następujący duchowni: ks. Stanisław Nuszkiewicz, częściowo jeszcze pod zaborem rosyjskim (1904-1919), ks. Wincenty Wojciechowski (1919-1930), ks. Bolesław Choroszyński (1930-1933), ks. Marian Kluszczyński (1933-1939). Miał on nominację na kapelana Wojska Polskiego, rankiem 1 września 1939 roku, gdy Niemcy zajmowali Bolesławiec, spieszył do swojej jednostki.

W pamięci starszych parafian zapisał się szczególnie ksiądz Stanisław Nuszkiewicz, odważny kapłan, który jeszcze przed upadkiem imperium rosyjskiego omijał wrogie zarządzenia, wydawane dla ludności polskiej. Wykorzystał na przykład sytuację zaistniałą w Rosji w 1905 roku w trakcie szerzących się tam ruchów rewolucyjnych i zaintonował w kościele pieśń „Boże coś Polskę”. Po stłumieniu tych ruchów został ukarany wysoką grzywną, której nie był w stanie zapłacić. Uiszcili ją za niego parafianie, wybawiając go tym od więzienia albo od zsyłki na Sybir. Ksiądz Nuszkiewicz nigdy nie przerwał działalności zmierzającej do zachowania kultury polskiej w nauczaniu religii, podnoszenia poziomu moralnego i gospodarczego społeczeństwa, szczególnie młodzieży. Usiłował upowszechnić rzemiosło, zwłaszcza koszykarskie. Na cel nauczania go oddał zakupiony przez siebie dom, obecnie na ul. Kościuszki, sprowadzał instruktorów. Kilku młodzieńców zdobyło ten zawód i uprawiało go z korzyścią dla siebie i dla swoich rodzin przez całe życie. Dla ochrony ludzi przed wyzyskiem lichwiarzy założył z grupą światlejszych parafian Spółdzielnię Spożywców „Jedność”, Kasę Pożyczkowo-Oszczędnościową (Kasę Stefczyka) i zajął się budową dla niej siedziby, która służy jej do dziś. Jego staraniem powstała zasobna biblioteka parafialna, w skład której wchodziły wartościowe książki, chętnie wypożyczane. Ksiądz Nuszkiewicz był prawdziwym społecznikiem – „organicznikiem”. Wyniki jego pracy były widoczne w Bolesławcu przez wiele lat. Doczekał wolności wśród swoich parafian, dzielił z nimi radość i zorganizował pierwszy dzień wolny od wrogów – 11 listopada 1918 roku⁴.

Mimo że ksiądz Stanisław Nuszkiewicz wkrótce opuścił Bolesławiec (w 1919 roku), to formy życia religijnego wprowadzone przez

⁴ Opis uroczystości i przemówienie ks. Nuszkiewicza zostały przedrukowane w Dodatku do niniejszej książki. Z kroniki parafialnej wynika, że uroczystość odbyła się 12 listopada.

niego stały się własnością ludzi, niekwestionowaną przez nikogo przez cały okres międzywojenny. Należał tu sposób spędzania niedziel, uroczystych świąt, odpustów, nabożeństw majowych i październikowych, uroczystości Wszystkich Świętych. Nie wszyscy parafianie mogli się uważać za wiernych zasadom katolickim, ale wszyscy włączali się do życia społeczności religijnej w wyjątkowych momentach. Wówczas kościół był przepelniony i nikogo w nim nie brakowało, oprócz chorych i starych. Często słabych i dzieci przywożono do kościoła furmankami. Szczególnie manifestacyjnie witano przybywającego na wizytację pasterską biskupa i organizowano procesję Bożego Ciała. Wtedy zmieniał się wygląd miejscowości, ozdabiano domy i ulice zielenią, obrazami, w oknach umieszczano świece⁵.

Po odejściu z Bolesławca ks. Nuszkiewicza objął parafię ks. Wincenty Wojciechowski, również wielki patriota i społecznik, kuzyn prezydenta Polski Stanisława Wojciechowskiego. Interesowało go całe życie parafii Bolesławiec. Urodził się i prawdopodobnie wzrastał w Warszawie w atmosferze wielkiego miasta, patriotycznej rodziny, ważnych problemów społecznych i narodowych. Mimo to potrafił pracować w środowisku wiejskim, wśród rolników. Sam również prowadził gospodarstwo rolne i miał ambicję, by było ono wzorowe, nowoczesne. Nie zawsze mu się to udawało, ale nie zrażał się swoimi błędami i cieszył się z sukcesów. Krążyły o tym legendy. Starał się na przykład o to, by prace na jego polu były wykonane na czas i na ogół mu się to udawało. Miał parę dobrych koni, gospodarza do nich, chętnych pracowników, których dobrze wynagradzał. Nie wszyscy jednak sąsiedzi mieli takie warunki i często nie nadążali za księdzem proboszczem, z czego on nie zdawał sobie sprawy. Więc gdy w czasie suszy jego pole czekało już gotowe na następne prace, natychmiast w kościele intonował pieśń „Boże Abrahamów” i modlitwy z prośbą o deszcz. Tymczasem ogół wiernych potrzebował raczej dobrej bezdeszczowej pogody na zbiór zboża czy siana. Ludzie odnosili się do tego jednak ze zrozumieniem, bez żalu, bo widzieli jego pozytywną pracę w wielu dziedzinach.

Leżały mu bardzo na sercu sprawy młodzieży szkolnej. Wspomagał nauczycieli w działalności pozaszkolnej. Przysłuchiwał się próbom występów artystycznych dzieci, zwłaszcza jasełek, ułatwiał pracę przy dekoracji sceny, wypożyczał do przedstawień meble, obrazy, szaty liturgiczne. Zorganizował żywy różaniec dzieci, czuwał nad jego działalnością, prowadził co miesiąc spotkania i modlitwy. Wy-

⁵ Zob. niżej, rozdział „Boże Ciało w Bolesławcu”.

chowywał dzieci w poszanowaniu dla idei misyjnej, prenumerował piśmiennik „Murzynek” i urządzał wspólne czytanie zamieszczonych tam artykułów. Zbierał znaczki pocztowe na wykup małych niewolników murzyńskich. Uczniowie byli dobrze zapoznani z ideą misyjną i przejęli ją.

Uczył religii w dwóch szkołach: w Bolesławcu i w Piaskach. Po lekcjach, wracając ze szkół, serdecznie rozmawiał z dziećmi. Wpisał im wtedy zamilowanie do modlitwy „Anioł Pański”. Gdy w południe odzywał się dzwon, zdejmował kapelusz i głośno recytował słowa tej modlitwy, a z nim towarzyszący mu uczniowie. Zwyczaje religijne, zaszczerpane przez niego dzieciom, przetrwały długi czas, w tym pokoleniu i w następnych.

O jego pracy pedagogicznej też opowiadano śmieszne historyjki, lecz ceniono go za gorliwość. Ksiądz ten sam przygotowywał dzieci do Pierwszej Komunii świętej. Uczył spowiadania się. Na środku głównej nawy w kościele był postawiony konfesjonał, w którym zasiadał katecheta, a „penitenci” podchodzili i głośno wyznawali zmyślone grzechy. Jedna z dziewczynek zaczęła od ciężkiej winy: „ukradłam sto koni”. Poruszony spowiednik aż wyszedł z konfesjonału i pochwalił ją za to, że zaczęła spowiedź od wyznania wielkiej winy, tak właśnie trzeba. Od tej pory każdy kolejny „penitent” wyznawał, że dopuścił się ogromnych kradzieży. Ksiądz chwalił te popisy, choć były one oczywiście dalekie od realnych sytuacji.

Dużą uwagę poświęcał ksiądz Wojciechowski organizowaniu pielgrzymek oraz akademii z okazji uroczystości religijnych, na które zapraszał prelegentów (np. hr. Marię Szembekową z Siemianic). W ten sposób podnosiła się kultura religijna społeczności parafialnej. Tego księdza otaczają niezwykle ciepłe wspomnienia.

W 1930 roku objął po nim placówkę ks. Bolesław Choroszyński. Był to starszy wiekiem i doświadczeniem kapłan. Starał się o pogłębienie religijności parafian, bo wydawała mu się ona zbyt zewnętrzna. W szkole nauczał wielu pieśni maryjnych.

Był to czas powstania i stabilizowania się diecezji częstochowskiej. Jej pierwszym biskupem był ks. dr Teodor Kubina, który tworzył struktury diecezjalne, między innymi muzeum diecezjalne. W czasie wizytacji parafii dostrzegł on w kościółku na Piaskach ludowe rzeźby – figurki aniołków – i poprosił o nie, chcąc umieścić je jako eksponaty w muzeum. Ks. proboszcz ofiarował je, a podobno też kilka starych szat liturgicznych, wśród których był – według legendy – ornat podarowany przez św. Jadwigę Królową (tego nie udo-

wodniono, nie udało się bowiem znaleźć tego ornatu w żadnym z kościołów w Częstochowie). Ksiądz proboszcz naraził się tym niektórym parafianom, którzy zresztą przed życzeniem biskupa nic nie wiedzieli o artystycznej wartości figurek. Dokuczali jednak księdzu proboszczowi i spowodowali jego odejście z parafii już w 1933 roku. Doszło wtedy do rozłamu, który został zażegnany dopiero wraz z przyjściem do pracy ks. Mariana Kluczyńskiego, ostatniego proboszcza w okresie międzywojennym.

Rozwinął on w Bolesławcu szeroką działalność religijno-kulturalną. Nowy ksiądz proboszcz miał nominację na kapelana Wojska Polskiego i musiał być zawsze gotowy na wezwanie. To jednak nie przeszkadzało mu w pełnym oddaniu się pracy duszpasterskiej. Zorganizował on około 1934 roku Akcję Katolicką, którą objął niemal wszystkie dziedziny życia chrześcijańskiego i wielu parafian, bez względu na wiek, zamożność, zawód, i ożywił ich religijność. Szczególnie wyróżniał się Katolicki Związek Młodzieży Żeńskiej. Troszczył się on o podnoszenie kultury. Miał swój zarząd, który prowadził dla członków kursy gotowania, pieczenia i szycia, organizował spotkania towarzyskie, czytelnicze. Wygłaszane były na nich interesujące odczyty. Członkinie, zwane druhnami, chętnie brały w nich udział. Wyjeżdżały też na zjazdy, organizowane przez kurię w Wieruszowie, w Wieluniu, w Kaliszu, w Częstochowie. Włączały się w obchody gminnych uroczystości patriotycznych. Podczas wieczorków wystawiały na scenie inscenizacje fragmentów powieści o charakterze religijnym (np. fragmenty *Quo vadis*).

Najczynniejsze członkinie wybierano do zarządu. Istniała funkcja prezeski, komendantki, sekretarki, delegatki na zjazdy. Wyróżniała się działalnością prezeski bardzo inteligentna i ofiarna Bronisława Bronś (później po mężu Pasternak). Inne czynne członkinie zarządu to: Kazimiera Chmielewska (po mężu Wykrota), Wanda Chmielewska (po mężu Szymanek), Kazimiera Krupot (po mężu Wyrwa), Eufrozyna Weber (po mężu Loska) i inne.

Istniał również w parafii Katolicki Związek Kobiet (wspomagał działalność młodzieży żeńskiej) oraz Katolicki Związek Młodzieży Męskiej – bardzo czynny i pożyteczny, stanowiący alternatywę dla beczynnego spędzania czasu przez młodzież.

Ksiądz proboszcz objął również swą akcją wychowawczą dzieci szkolne. Prowadził Krucjatę Eucharystyczną. Organizował interesujące zebrania. W lecie odbywały się one często w ogrodzie przy plebani i były uważane przez dzieci za sporą atrakcję. Wolno im było

zrywać owoce z drzew, urządzać różne zabawy, staczać się „z górki na pazurki”. Spędzały tam radosne chwile, które wpływały na przywiązanie do wiary.

Wychowawcza rola Kościoła była też widoczna w niedzielnych zebraniach przy figurze Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej stojącej na skwerze koło plebani. Odbywały się one spontanicznie, w majowe i pogodne letnie popołudnia niedzielne. Przychodzili tam wszyscy: młodzi, starzy, dzieci, mężczyźni, a nawet młodzieńcy. Siadali na trawie i do późnych godzin wieczornych śpiewali pieśni maryjne. Przewodniczyła tym śpiewom młoda, bardzo utalentowana i ofiarna członkini Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży Żeńskiej Wiktoria Gładąła (później Zgorzelska). Nastrój tych spotkań był bardzo miły, podniosły i tak radosny, że uczestnikom trudno było się rozejść; zostawiały w duszach ślad, tęsknotę za lepszym życiem, sprzeciw wobec jego bylejakości. To nie były blahe lub banalnie przeżywane chwile.

Należy też wspomnieć o pielgrzymkach, które obfitowały w radosne i pełne humoru momenty. Jedną z nich zachowała się w mojej pamięci. Był rok 1935. Właśnie zdałam maturę. W podziękę za nią postanowiłam odbyć pielgrzymkę na Jasną Górę. Umówiłam się z przyjaciółką Rafcią Gintrówną i moim bratem Lucjanem i włączyliśmy się do grupy parafialnej. Wyruszyliśmy pieszo z Rudnik, dokąd wszyscy pątnicy z Bolesławca zostali odwiezieni wozami konnymi. W pierwszym dniu było ciężko – bolały nogi. Na szczęście przewodnik pan Aleksander Chwaliński często zarządzał odpoczynki. W następnym dniu było lżej. Dużo śpiewaliśmy i przeplataliśmy śpiewy wesołymi rozmowami. Przed drugim noclegiem, który wypadł blisko Kłobucka, pan Chwaliński zebrał wszystkich i wskazał na majaczący w oddali obiekt jako na wieżę z Jasnej Góry. Wierzyliśmy mu, bo prowadził te pielgrzymki już ponad 30 razy... Padliśmy więc krzyżem na ziemię i modliliśmy się, marząc, by ten odpoczynek trwał jak najdłużej. Ale nie, trzeba było ruszać dalej! Wtedy mój brat powiedział nam, że Jasna Góra leży w zupełnie innym kierunku. Nie żalowaliśmy jednak pomyłki, bo bardzo nam się podobała ta przerwa w marszu.

Zawsze w południe pielgrzymka zatrzymywała się na posiłek. Nadjeżdżał wtedy wóz, przykryty plandeką, ciągnięty przez siwki księdza proboszcza. Zabieraliśmy z niego domowe paczki z żywnością i zjadaliśmy obiad. Stanowił go prawie zawsze placek z jabłkami (jabłecznik), chleb z masłem i z białym serem i najczęściej herbata, którą sprzedawały gospodynie z mijanych wiosek. Chcieliśmy się wzorować na pielgrzymce przedstawionej przez Władysława Rey-

monta (*Pielgrzymka do Częstochowy*). Nocowaliśmy w stodołach, a w samej Częstochowie w izbach przeznaczonych co roku dla pątników, na słomie lub na siennikach. To już był komfort.

Ksiądz proboszcz spotykał się z nami dopiero na Jasnej Górze, przewodniczył naszym modlitwom, wspólnie z panem Chwalińskim oprowadzał po obiektach klasztornych. Po dwóch dniach pobytu w Częstochowie, zaopatrzeni w tanie pamiątki – dewocjonalia dla rodziny i znajomych, wracaliśmy do Bolesławca, mimo doznanych niewygód z żalem, bogatsi o nowe przeżycia. U granic Bolesławca, w miejscu określanym wówczas „koło krzyża”, czekali na nas parafianie, uformowani w procesję, z chorągwiami, feretronami, świecami. Prowadzili nas do kościoła. Tam padliśmy krzyżem na podłogę, dziękowaliśmy Bogu za szczęśliwy powrót. Słychać było cichy płacz.

W 1939 roku Niemcy zabronili wielu praktyk religijnych. Kościół wkrótce zamknięto, a ks. Tochowicz został aresztowany i zamordowany w obozie koncentracyjnym w Dachau. Ks. proboszcz Kluszczyński zdołał uciec. Jednak Polacy ufali Bogu i często zwracali się do Niego w tajemnicy przed Niemcami. Schodzili się wieczorami i kontynuowali wspólnie modlitwy, pielęgowali zwyczaje religijne. Wychowanie, zaufanie Bogu zdobyte w latach międzywojennych, pomogło ludziom przetrwać cierpienia okupacyjne, a nawet zdobywać się na czyny bohaterskie: przeciwstawianie się Niemcom. Ukrywali szaty liturgiczne, chrzcili dzieci, przygotowywali do Pierwszej Komunii świętej. A to groziło śmiercią, o czym wiedzieli wierzący Polacy, a mimo to nie odstępowali od tych niebezpiecznych praktyk.

Nad Prosną stała kapliczka poświęcona św. Janowi Chrzcicielowi. Lubili ją szczególnie dzieci, wracając ze szkoły, modliły się przy niej, zdobiły ją kaczeńcami, po które wchodziły często na mokrą jeszcze wczesną wiosną łąkę. Pewnej nocy, na samym początku okupacji, członkowie Hitlerjugend wyrzucili figurę św. Jana z kapliczki, upiłowali jej głowę i wrzucili razem z potłuczoną figurą do rzeki. Polacy, również nocą, odnaleźli wszystkie części i przechowali razem z szatami liturgicznymi. Po wojnie nadal służyły kultowi, gdy tylko kościół został oczyszczony i uporządkowany po profanacji.

Klub Sportowy „Bolesławianka”

W okresie międzywojennym główna część społeczności Bolesławca skupiała się wokół szkoły, kościoła i Straży Pożarnej. Istniały jednak i mniejsze organizacje, które tworzyli mieszkańcy bez różnicy wyznania, narodowości, a tylko według własnych zainteresowań i po-

trzeb. Jedną z nich był bardzo szanowany przez ogół Klub Sportowy „Bolesławianka”.

Założyli go i kierowali nim: Tadeusz Liniewiecki – student Wydziału Rolnego Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, Kazimierz Słowiński – krawiec z Bolesławca, Stefan Nowakowski – krawiec z Bolesławca oraz bolesławianin Władysław Pyzalski. Bardziej lub mniej czynnymi członkami Klubu byli nieomal wszyscy młodzieńcy w liczbie około 20. To była dobra, ambitna drużyna. Władysław Pyzalski osiągnął w piłce nożnej tak duże umiejętności, że drużyny z bliższych i dalszych okolic zapraszały go na swoje mecze, do własnych rozgrywek.

W sezonie letnim Klub organizował w niedziele mecze gościnne w Bolesławcu lub wyjazdy na rozgrywki do innych miejscowości. Sportowcom towarzyszyli kibice, ale tylko kulturalni, spokojni, zrównoważeni, dzięki czemu „Bolesławianka” cieszyła się dobrą opinią i sukcesami.

Organizowano też spotkania piłkarskie z graczami niemieckimi z Byczyny. Prezes starał się wówczas o przepustki dla przekraczających granicę. A było ich wtedy wielu, bo wiodła ich ciekawość zagranicy. W czasie tych spotkań bolesławianie zetknęli się z problemem mniejszości narodowej. Podczas oczekiwania na mecz w Byczynie Polacy spacerowali po ulicach. Podchodzili do nich wtedy ludzie, mówiący po polsku gwara śląską, ale też i językiem literackim, życzyli gościom zwycięstwa jako „naszym”, prosili: „nie zróbta nam gańby”. Byli to potomkowie z dawna tu zamieszkujących Polaków, którzy, choć administracyjnie oddzieleni od Macierzy już długie lata, uważali Polskę za swoją Ojczyznę.

Związek Strzelecki „Strzelec”

Przy charakteryzowaniu życia w Bolesławcu w okresie międzywojennym nie można pominąć działalności Związku Strzeleckiego – Drużyny Męskiej, która powstała w 1932 roku, i Drużyny Żeńskiej, utworzonej tu w 1933 roku.

Były to w pewnym zakresie organizacje paramilitarne. W Bolesławcu powstały dość późno, ale mimo to uzyskały duże znaczenie o charakterze politycznym, a obywateli uświadomionych pod tym względem, wspierających politykę rządu, państwo potrzebowało. Związek Strzelecki takich ludzi wychowywał i skupiał w swych szeregach.

Początkowo prezesem Związku Strzeleckiego Męskiego był wójt gminy Jan Gładala, sekretarzem – Józef Zalc (sekretarz gminy), skarbnikiem – Antoni Czubowicz (rzemieślnik), komendantem – Józef Kozaczko (strażnik graniczny). Od 1934 roku prezesem był Henryk Wesołowski (kierownik szkoły), wiceprezesem – Igor Taran (lekarz), sekretarzem – Tadeusz Kujawiński (nauczyciel). Komendantem był nadal Józef Kozaczko.

Związkiem Żeńskim kierowała dość długo osoba niezwykła – artystka teatru carskiego w Petersburgu – Janina Bergmanowa. Prawdopodobnie (nie upowszechniała dokładnych wiadomości o sobie) uciekła ona z synem ze stolicy Rosji przed rewolucją. Nie wiadomo, w jaki sposób spotkała się z lekarzem Igorem Taranem, również uciekinierem przed rewolucją. Razem z jego rodziną przybyła do Bolesławca i tu zamieszkała. On objął placówkę lekarską. Pani Bergmanowa oddała się pracy społecznej na stanowisku prezeski Żeńskiej Organizacji Strzeleckiej i prowadziła ją w szerokim zakresie, głównie w aspekcie kulturalnym. Organizowała zespoły dramatyczne, przygotowywała programy występów artystycznych na akademie patriotyczne, reżyserowała przedstawienia ambitnych sztuk scenicznych. Dzięki temu Związek Strzelecki występował na wysokim poziomie, przyciągał ludzi, wywierał duży wpływ na podnoszenie poziomu kulturalnego i wychowania politycznego swoich członków i mieszkańców. Do 1934 roku prezesem Związku była Wanda Malewska (nauczycielka), sekretarzem – Julia Zielonkowa (pracownica poczty). W 1934 roku prezeską została Helena Taranova (żona lekarza), wiceprezeską – Józefa Jakubowska (żona policjanta), sekretarzem – Helena Kopydłowska (nauczycielka).

Wybuch II wojny światowej unicestwił dorobek drużyny w jej pełnym rozkwicie, jak zresztą i innych organizacji społecznych, pracujących dla Ojczyzny. Późniejsze losy prezeski Związku Strzeleckiego w Bolesławcu Janiny Bergmanowej nie są znane.

Inne organizacje i stowarzyszenia

Oprócz przedstawionych już organizacji, stowarzyszeń i związków istniały w Bolesławcu mniej liczne i mniej znane: Sokół, Czerwony Krzyż, Liga Morska i Kolonialna, Liga Obrony Powietrznej i Przeciwigazowej, Związek Popierania Polskiego Stanu Posiadania w Bolesławcu, Chrześcijańskie Towarzystwo Pożyczkowo-Oszczędnościowe w Bolesławcu. Były też związki żydowskie: Agudas Izrael (liczył 48 członków), Ogólna Organizacja Syjonistyczna (10 członków), Hechalne

Pionier (10 członków), organizacja sportowa Hasmonea. Organizacje żydowskie miały swoją pieśń, której fragment się zachował:

Nie stracona nasza nadzieja,
Nie zachwiała się w Żydach wiara,
Że powrócimy do naszej Ojczyzny
I żyć będziemy w Palestynie.

Wszystkie, zwłaszcza młodzieżowe organizacje – polskie i żydowskie – były dla siebie tolerancyjne, a nawet przyjazne. Polacy i Żydzi zapraszali się na zabawy, majówki, śpiewali ludowe piosenki, uprzyjemniali sobie czas. Chłodniejsze stosunki panowały wśród ludzi starszych, którzy zajmowali się handlem, ponieważ chodziło o interesy, a więc decydowały kwestie gospodarcze. Z dawien dawna bowiem Żydzi byli w Bolesławcu grupą, która żyła dostatniej od Polaków.

Jednak w okresie międzywojennym sytuacja się nieco zmieniła, gdyż pracowali nad tym działacze społeczni. Znanym przez ludność od wielu lat był ks. Stanisław Nuszkiewicz. Założył on Kasę Stefczyka, nawet wybudował dla niej budynek, który istnieje do dziś i jest siedzibą banku. Kasa miała chronić ludzi przed wyzyskiem i przed lichwą właśnie ze strony Żydów. Prawdopodobnie powstała ona jeszcze za czasów carskich około 1904 roku. Znaczny rozwój osiągnęła po 1920 roku. Działała przez cały okres międzywojenny, a także po wojnie. Okazało się, że Polacy umieją pracować dla społecznego dobra. Kasa pożyczala ludziom pieniądze w ich różnych potrzebach na niski procent; dług był zwracany w dogodnym dla dłużnika czasie. Przed wojną Żydzi nie byli z tego zadowoleni, bo tracili dochód. Działaczami w kasie byli obok założyciela księdza Stanisława Nuszkiewicza i Antoniego Chmielewskiego (przez krótki czas) również Tadeusz Wykrota (był kasjerem), Antoni Czubowicz i inni.

Drugą ważną pod względem ekonomicznym organizacją było Spółdzielcze Stowarzyszenie „Jedność”. Nie wiadomo, kto i kiedy je założył. Jeszcze w czasie I wojny światowej istniał sklepik o charakterze spółdzielczym. Pracowała w nim pani Eugenia Wykrotowa, której mąż – felczer – był na wojnie. Po 1918 roku kierowniczką sklepiku i sprzedawczynią była Maria Słowińska. W miarę rozwoju spółdzielni przydzielono jej do pomocy Helenę Tylkowską. Po ustąpieniu Marii Słowińskiej jej miejsce zajęła Helena Tylkowska, a jej pomocnicą została Stefania Chmielewska, która wkrótce (po wyjściu za mąż przez Tylkowską) objęła kierownictwo sklepu, a pomagała jej Bronisława Koszowska. Był to już okres bardzo dobrego prosperowania spółdzielni, lata po 1930 roku. Funkcja kierownika całego przedsiębior-

stwa (prezesa spółdzielni) przypadła panu Józefowi Będzińskiemu, nauczycielowi z miejscowej szkoły. Kasjerem był pan Jan Dominas. Taki skład osobowy przetrwał do początku wojny i wykazał się bardzo dobrą pracą. Stefania Chmielewska знаła księgowość, brała udział w kursach organizowanych przez instytucje spółdzielcze. Prowadziła handel bardzo umiejętnie, nowoczesnie i korzystnie dla rolników. Sprowadzała nawozy sztuczne, które rolnicy mogli wiosną nabywać na kredyt, spłacany po żniwach. Ten sposób zaopatrywania się przeciwdziałał nabywaniu towarów u kupców żydowskich na kredyt i płaceniu wysokich procentów przy spłacaniu zaciągniętych długów. Żydzi oczywiście nie byli z tego zadowoleni.

Uroczystości patriotyczne

Życie w Bolesławcu w okresie międzywojennym było biedne, ale z każdym rokiem osiągało coraz wyższy poziom. Bolesławianie byli dumni ze swoich osiągnięć i z solidarności. Okazywali ją przez organizowanie wspólnych dla całej miejscowości uroczystości państwowych, o których należy pamiętać, bo często były bardzo piękne.

W 1933 roku, dzięki ofiarności i solidarności mieszkańców, stanął na środku Rynku Pomnik Niepodległości. Wielki, potężny monument zbudowany na planie kwadratu zawierał na każdej ścianie nazwiska członków Polskiej Organizacji Wojskowej (POW), którzy w 1918 roku rozbili w Bolesławcu Niemców i ogłosili powstanie niepodległej Polski. Od tego czasu Rynek był centralnym punktem każdej uroczystości państwowej. Władze gminy organizowały obchody 3 Maja, 15 Sierpnia, 11 Listopada, Święto Morza, a także, choć w nieco inny sposób, Boże Ciało.

Te uroczystości wpływały wychowawczo na mieszkańców, pomagały zachować tożsamość. Rozpocynały się z reguły Mszą św. za Ojczyznę. Kościół był wtedy przepełniony. W szyku i ze sztandarami przychodzili członkowie organizacji, dzieci szkolne z chorągiewkami, dziewczynki, zazwyczaj w strojach ludowych (przeważnie w krakowskich i łowickich), orkiestra, urzędnicy gminni, nauczyciele. Nabożeństwo kończyło się odśpiewaniem „Boże coś Polskę”. Po wyjściu z kościoła formował się pochód. Na czele szli: wójt (Jan Gładąła), sekretarz gminy (Józef Zalc), komendant policji (Kołoszczyk), reprezentanci organizacji, dzieci szkolne. Za nimi członkowie wszystkich organizacji. Pochód zatrzymywał się na Dużym Rynku. Z balkonu umówiony prelegent wygłaszał patriotyczne przemówienie. Na

cały Bolesławiec płynęły dźwięki orkiestry wykonującej „Legiony” i „Boże coś Polskę”.

Potem odbywały się w sali Kasy Stefczyka akademie, w których uczestniczyły dzieci szkolne i z ochronki. W ciepłe dni akademie odbywały się pod gołym niebem. Zawsze uczestniczyło w nich mnóstwo ludzi. Wieczorem zamykano uroczyste obchody święta bardzo licznym pochodem formującym się na Rynku, przy Pomniku Niepodległości. Mało kto zostawał w domach, udekorowanych chorągiewkami i portretami. W oknach płonęły świeczki. Zdawało się, że jeden duch, jedna myśl opanowywała mieszkańców, że cały Bolesławiec, martwy i żywy, ludzie i zwierzęta, był przejęty obchodzonym świętem.

Na zakończenie pragnę przytoczyć symboliczną i prawdziwą historię gniadego konia, który na dźwięk orkiestry opuścił swoje spokojne miejsce w stajni i dołączył do manifestacji. W czasie pochodu z okazji dnia odzyskania niepodległości ktoś wpadł do mieszkania Eleonory Chmielewskiej (mojej mamy) i spytał, czy ma w stajni konia. Mama zaniepokojona wyszła sprawdzić. Okazało się, że brakuje jednego konia. Właśnie w tym czasie zbliżał się do tego domu pochód, a maszerował w nim koń z podniesioną jakby dumnie głową. Szedł poprawnie w takt muzyki, jakby świadomy tego, że należy łączyć ducha z ludźmi, którzy czczą pamięć ważnego wydarzenia. Po kilku latach nie było już tego konia. Został „zmobilizowany” na wojnę z Niemcami w 1939 roku i już nie wrócił, więc pewnie „poległ”. Cała rodzina wspominała go z wielkim żalem przez wiele lat.

Całe to opowiadanie o okresie międzywojennym jest naszym gorącym apelem o mądrą, uczciwą pracę dla swego zakątka, a tym samym dla całej Polski. Naszym pragnieniem jest, aby ta praca mogła służyć, choć w niewielkim stopniu, ludziom tej ziemi, której my poświęciliśmy wiele, wiele lat naszego życia.